



Diabeł tkwi w wytycznych

Do niedawna cieszyliśmy się wspólnym sukcesem, jakim było podniesienie progu stosowania ustawy Prawo zamówień publicznych (PZP) do wysokości 30 000 euro netto. Niestety, radość była krótka. 10 kwietnia 2015 Ministerstwo Infrastruktury i Rozwoju opublikowało *Wytyczne w zakresie kwalifikowalności wydatków w ramach EFRR, EFS oraz Funduszu Spójności na lata 2014–2020. Wytyczne*, a w szczególności rozdział 6.5 dotyczący zamówień publicznych, niweczą to osiągnięcie i są krokiem wstecz nawet w stosunku do zapisów ustawy Prawo zamówień publicznych przed jej nowelizacją.

W rozdziale 6.5 *Wytycznych* wprowadzono procedurę, która w zasadzie jest analogiczna do procedury przetargowej dla zamówień powyżej 50 000 PLN. Ponadto umożliwiono wprowadzanie dalszych obostrzeń na poziomie poszczególnych programów operacyjnych. W konsekwencji, np. w POIR, podobne komplikacje pojawiają się dla zamówień już od 20 000 PLN. Tak daleko idące ograniczenia wykraczają poza wymogi ustawy PZP, a ponadto wprowadzają podwójne standardy procedowania, w zależności od źródła finansowania (środki krajowe/środki UE).

Przypuszczam, iż ww. ograniczenia są skutkiem błędnej interpretacji *Komunikatu wyjaśniającego Komisji Europejskiej*, w którym zaleca się, aby podstawowe zasady wynikające z Traktatów o UE przenieść także na poziom zamówień nieobjętych dyrektywami. Komisja wskazuje jednak, iż rekomendacje te należy stosować jedynie, gdy mamy do czynienia z istotnym „znacze-

niem gospodarczym” zamówienia. Uważam, że zapisy ustawy PZP, wprowadzające próg jej stosowania na poziomie 30 000 euro (czyli kilkakrotnie niższym niż próg dyrektywy Komisji Europejskiej), w zupełności czynią zadość zaleceniom Komisji. Apeluję więc, aby zlikwidować dalsze ograniczenia.

Zapisy podrozdziału 6.5. *Wytycznych* kreują ponadto nowe ograniczenia w zakresie negocjacji bez ogłoszenia, z wolnej ręki oraz zapytania o cenę. Ograniczenia te, niemające uzasadnienia w ustawie PZP, również wprowadzają podwójne standardy w realizacji zamówień publicznych. Są one ponadto wewnętrznie sprzeczne.

- Przykład 1: wprowadzenie obowiązku publikowania „informacji o zamówieniu” i gromadzenia ofert w trybie „negocjacji bez ogłoszenia”.
- Przykład 2: wprowadzenie dla trybu zamówienia z wolnej ręki konieczności zakreślenia terminu składania ofert „potencjalnym wykonawcom”, co zaprzecza przesłankom stosowania tego trybu.

Nie trzeba wyjaśniać, że przedstawione ograniczenia generują ogromny, a całkowicie zbędny, dodatkowy nakład pracy i prowadzą do kolosalnego marnotrawstwa środków publicznych, powiększając równocześnie bardzo szkodliwą biurokratyzację polskiej nauki.

Najwyższy czas, aby nowe kierownictwo Resortu Rozwoju pochyliło się nad tą sprawą i zmieniło fatalne *Wytyczne*, usuwając restrykcje wykraczające poza wymagania zawarte w ustawie Prawo zamówień publicznych. Wystarczy jeden podpis Pana Ministra.

MICHAŁ MŁYNARCZYK

NCPS SOLARIS
Uniwersytet Jagielloński

W uzgodnieniu z autorem, tekst ten został wysłany w dniu 4 kwietnia (mailem) do wiadomości Pana Ministra Mateusza Morawieckiego z prośbą, aby on sam, lub któryś z kompetentnych pracowników Ministerstwa Rozwoju, zechciał ustosunkować się do tej bulwersującej sprawy. Do chwili zamknięcia numeru odpowiedź nie nadeszła. Mamy nadzieję, że będziemy mogli opublikować stanowisko resortu w jednym z najbliższych numerów.

Redakcja

Polowanie na granty

Profesor Iwo Białynicki-Birula i profesor Andrzej Białas pochylił się nad łowcami grantów, czyli nad wszystkimi naukowcami na świecie (PAUza 335). Bo wszyscy aktywnie działający naukowcy są, *volens nolens*, łowcami grantów. Omawiając ten problem, skupmy naszą uwagę na eksperymentalnych naukach ścisłych i technicznych.

Po co zdobywa się granty? Po to, by zrealizować swoje pomysły naukowe. A po co chcemy prowadzić więcej niż jeden projekt? Bo pomysłów na różne badania mamy więcej niż jeden. A jak się te granty realizuje? Zazwyczaj w zespole. A czemu w zespole? Bo jeden człowiek w dzisiejszej nauce zrobi tyle, co Robinson Crusoe na bezludnej wyspie bez Piętaszka. A czemu? Bo technik eksperymentalnych, za pomocą których badamy świat, jest bez liku i dzisiaj, by potwierdzić odkrycie opisane w jednej publikacji, stosuje się wiele metod badawczych. Wskutek tego artykuły mają coraz więcej autorów z różnych ośrodków, a często z różnych dziedzin. Może paść pytanie: czemu w jednym grantcie nie wpisujemy wszystkich naszych pomysłów? Bo gdy raz tak zrobiłem, to recenzenci napisali, że grant jest eklektyczny i nie ma dobrze określonego jednego celu. Stąd bierze się zasada, narzucona przez grantodawców: jeden pomysł, jeden grant.

Czy można efektywnie realizować kilka projektów na raz? Można. Nie wierzycie? To wejdźcie na skocznię w Zakopanem. Według mnie, to niemożliwe, żeby na szczycie przypiąć narty, pojechać w dół, skoczyć i nie umrzeć. A Adam Małysz skakał i żyje. Żyje, bo ćwiczył. Podobnie jest z grantami. Zaczynamy od jednego skromnego grantu i uczymy się, jak go dobrze zrealizować. Potem bierzemy drugi i trzeci. Po 30 latach ćwiczeń realizujemy kilka pomysłów na raz z dobrym skutkiem.

W artykule profesora Andrzeja Białasa i liście profesora Iwa Białynickiego-Biruli zabrakło jednego ważnego punktu: podsumowania, jak łowcy grantów je realizują. Czy naukowiec, który ma kilka grantów, rozlicza je jedną i tą samą publikacją (patologia)? Czy też wszystkie projekty realizuje dobrze, ma ciekawe wyniki, publikowane w bardzo dobrych czasopiśmie i prezentowane na seminariach na najlepszych uczelniach świata? A w różnych projektach podaje jako rozliczenie różne publikacje. To, że jeden naukowiec nie potrafi zrealizować jednego grantu, nie oznacza, że inny naukowiec ma jakikolwiek problem z realizacją 6 projektów. Po owocach ich poznacie. Patrzmy na owoce w naszym sadzie, a nie na to, ile drzew jest w sadzie sąsiada.

W czym tkwi problem z łowcami grantów w Polsce? Otóż według mnie w tym, że przegrywamy z łowcami

grantów z Europy i USA. Nie potrafimy dobrze polować w stadzie – taką diagnozę stawia dla polskiego społeczeństwa profesor Janusz Czapiński. Dlatego tak słabo idzie nam polowanie na granty w Brukseli. Dodatkowo mieliśmy o kilkadziesiąt lat mniej na ćwiczenia w polowaniu na granty. Brak godnego systemu grantowego przed 1989 rokiem i brak odpowiednich środków w polskim systemie grantowym przed 2007 rokiem spowodowały, że jeszcze dziś przegrywamy w walce o granty ERC.

W Instytucie Chemii Fizycznej PAN stworzyliśmy szkołę łowców grantów. Tego jak pisać granty, jak sobie pomagać, jak polować w stadzie uczymy od kołyski naukowej. W Polsce jest dużo grantów dla młodych badaczy i dlatego nasza nauka jest skierowana przede wszystkim do nich. Niech staną się łowcami i zdobywają dla Polski w przyszłości granty ERC. Niech odzyskują pieniądze z Brukseli, które nasze państwo tam wpłaca. Niech staną się lepszymi łowcami niż ich koledzy z Wielkiej Brytanii, Holandii, Francji czy Niemiec. Nasza szkoła jest dobra. W latach 2011–2016 otrzymaliśmy kilka grantów z Brukseli na łączną kwotę ponad 10 milionów euro. Odzyskaliśmy polskie pieniądze i wygraliśmy z innymi łowcami. 9 razy występowaliśmy o granty ERC, jeden grant dostaliśmy (11% skuteczność), a trzy razy nasze projekty przeszły do drugiej rundy, uzyskując ocenę A (33%). Profesor Piotr Garstecki z naszego Instytutu jest kierownikiem grantu ERC StG, jako jedyny w Polsce w naukach technicznych. Nasze projekty przekładają się bezpośrednio na jakość badań naukowych, które prowadzimy. Dzięki nim przeprowadziliśmy skuteczną reformę nauki w Instytucie – mniej prac, ale lepszych. Już prawie 25% naszych prac ukazuje się w najlepszych czasopiśmie chemicznych i fizycznych (z IF>5), a cytowania naszych publikacji rosną szybciej niż czynnik wpływu (IF) czasopiśmie naukowych. W rankingu jakości publikacji naukowych zajmujemy 1. miejsce w Polsce (ranking SIR Scimago). W USA 1. miejsce w tym samym rankingu zajmuje Broad Institute of Harvard and MIT.

Sprawdził w IChF PAN, że bardzo dobry naukowiec jest także bardzo dobrym łowcą grantów (z błędem na poziomie 2–3%). Przy czym bibliometrię traktujemy pomocniczo. Patrzymy na pomysły naukowe, słuchamy seminariów i prowadzimy dyskusje naukowe. Na tej podstawie oceniamy, kto zacz ten naukowiec.

Życzę szczęśliwych łowów wszystkim polskim łowcom grantów. Niech każdy zdobyty i dobrze zrealizowany projekt przełoży się na lepsze zrozumienie otaczającego nas świata. Bo o to tak naprawdę chodzi w tym polowaniu na granty.

ROBERT HOŁYST
Instytut Chemii Fizycznej PAN

Jawność pomoże !

W 335 numerze „PAUzy Akademickiej” profesorowie Iwo Białynicki-Birula i Andrzej Białas podnieśli larum w sprawie młodych naukowców korzystających z dobrodziejstwa udziału w wielu projektach badawczych jednocześnie jako wykonawcy czy ich kierownicy. Wykrycie tego zjawiska nie było trudne – w kolejnych wystąpieniach o granty, autorzy w ankietach naukowych chwalili się dotychczasowymi osiągnięciami, nie widząc w nich nic złego. Samo napiętnowanie takiego postępowania może przynieść dodatkowy efekt w postaci ukrywania danych o uczestnictwie w projektach – obecnie jawne są jedynie nazwiska kierowników projektów. Profesor Iwo Białynicki-Birula pyta, czy tej patologii nie dałoby się ukrócić?

Wydaje się, że nie można tego osiągnąć metodą bardziej restrykcyjnych przepisów oraz zwiększonych kontroli. Droga odnowy moralnej środowiska, sugerowana przez śp. prof. Macieja Grabskiego i wspomniana przez prof. Białasa, jest chyba jedyną możliwą¹. Tylko jak to osiągnąć?

Sugerujemy rozwiązanie proste i niedrogie – **pełną jawność informacji o grantach** z wykorzystaniem Internetu (obecnie dostępne są tylko tematy i nazwiska zwycięzców konkursów). Realizujący projekty poprzez umowy (lub odpowiednie aneksy do nich, dla projektów będących w realizacji) zgadzają się na jawność raportów rocznych

i końcowych. Narodowe Centrum Nauki dysponuje raportami w formie elektronicznej, które są pieczołowicie oceniane w NCN pod kątem formalnej poprawności wydawania pieniędzy czy obecności odpowiednich adnotacji o źródłach finansowania. Wystarczyłoby te same raporty w odpowiedniej formie przedstawić na dedykowanej stronie www. A jeśli nie same raporty, to dane o zakupionej aparaturze, zrealizowanych publikacjach i wynagrodzeniach (kto i za co). Przy stosunkowo niedużym nakładzie pracy można umożliwić przeszukiwanie stron pod kątem znajdowania danych osób w gronie kierowników i wykonawców. Podobną procedurę można zastosować do innych źródeł finansowania (projekty NCBiR czy kontrowersyjne – patrz PAUza nr 150 – projekty Iuventus Plus MNiSW). A jeszcze lepiej – na wspólnej liście/stronie (OPI).

Oczywiście takich kroków nie można podjąć bez zgody zainteresowanych osób ze względu na ustawę o ochronie danych osobowych. Można jednak od wyrażenia takiej zgody uzależniać przyznanie finansowania projektu oraz wypłatę wynagrodzenia dla jego wykonawców. Skoro uczonego chce korzystać z pieniędzy podatnika, powinien zgodzić się na upublicznienie wyników swej pracy oraz społeczną kontrolę wydatkowania środków finansowych przeznaczonych na realizowany projekt.

JAKUB ZAKRZEWSKI i KAROL ŻYCZKOWSKI

Uniwersytet Jagielloński

¹ Patrz także: Leszek Pacholski, *Polska nauka. A gdybyśmy wprowadzili kodeks honorowy?* <https://wszystkoconajwazniejsze.pl/>

Ostrożnie nie z historią, lecz z autorami piszącymi o historii

W numerze 335 PAUzy ukazał się tekst *Ostrożnie z historią*, pióra Ryszarda Stemplowskiego z Akademii Ignatianum. Słowo historia w tytule może sugerować, że dotyczy będzie jakichś problemów naukowych, co zgodne byłoby z profilem pisma. Z tekstu dowiadujemy się, że chodzi o politykę historyczną. Zagadnienie polityki historycznej jest ważne, nawet bardzo ważne, lecz Ryszard Stemplowski przekonuje, że to „wiedza ryzykowna, wymagająca zwerifikowania i prawnego ugruntowania”. Dowodzi, że ani prezydent, ani rząd nie mogą jej uprawiać! Pochwała natomiast działalność inteligentnych Polaków w tej dziedzinie. Wspomina o „sztuczkach w zakresie propagandy”, jakie stosuje nowa władza.

Tekst Ryszarda Stemplowskiego zawiera stwierdzenie, z którym każdy może się zgodzić: „zawsze potrzebne jest uczciwe upowszechnianie wiedzy o Polsce”. Ale zaraz wyjaśnia, że nie można jej upowszechniać „za pomocą filmów i tekstów tworzonych na propagandowe zamówienie”. Nie podaje, bo z pewnością nie byłoby to łatwe, jakie

konkretnie filmy czy teksty powstałe po zmianie władzy w Polsce ma na myśli. Podobnie jest w przypadku pisanych na propagandowe zamówienie tekstów uczonych, robiących polityczne kariery, „gdyż ich dzieła rzadko są dobre”. I znów tylko sugestia czy raczej insynuacja. Wreszcie, już jednoznacznie, autor wypowiada się *pro domo sua*: „jakaś cenzura będzie badać moje monografie, czy są dostatecznie patriotyczne”. Chciałoby się rzec – trochę mniej pychy.

Nie warto by w ogóle zwracać uwagi na ten tekst, bo widać w nim stronnictwo ideową autora. Jest to tekst ideologiczny, który wpisuje się w nurt polemik toczonych ostatnio w publicystyce, a jego autor zajmuje pozycję niechętną obecnej władzy. Może jej nie lubić. Ale czy to jest wystarczające, by taka publikacja ukazywała się w „PAUzie”, która dotąd – i chwala jej za to – stroniła od jednoznacznego określania się ideowego i politycznego? Czy redakcja pisma uważa, że trzeba było tekst drukować, bo w wypadku odrzucenia można było być podejrzanym o cenzurę? Nie zakładam, rzecz jasna, że redakcja zmieniła swoją pozycję.

LUCJAN SUCHANEK

Członek czynny PAU

zaPAU

O punktach i popularyzacji

Byłem niedawno na dosyć poważnym zebraniu. Kilkanaście osób, wśród nich profesorowie kilku szanowanych polskich uczelni. Posiedzenie jak posiedzenie – trzeba było wysłuchać paru informacji, przedyskutować kilka problemów i podjąć odpowiednie decyzje. W trakcie przerwy zajrzałem do poczty elektronicznej; znalazłem tam informację, że przyjęto mi artykuł w „Fizyce w Szkole” (FwS). Ucieszyłem się. Lubię jak mi coś publikują, zwłaszcza jeżeli z publikacją związany jest pewien ruch na koncie. Nawet jeżeli suma umożliwia jedynie zakup kwiatka i drobiazgu z nie najszlachetniejszego metalu dla żony.

Ponieważ przerwa była przeznaczona na obiad, więc dogoniłem resztę towarzystwa i ... pochwaliłem się powyższą informacją. – „Ile punktów?” – „Zero” – odpowiedziałem. – „Tępię tego rodzaju aktywność” – ustąpiłem od jednego z kolegów, dyrektora instytutu w jednym z uniwersytetów. – „Od pracownika wymagam w ciągu czterech lat przynajmniej trzech 30–40-punktowych artykułów. A w ogóle to popieram udział w dużych korporacjach gwarantujących wysoką i regularną punktację”

W pewien sposób zgadzam się z powyższym poglądem kolegi. Zawsze uważałem wyższe uczelnie i inne „instytucje kultury” za miejsca tworzenia kultury narodowej. Po prawdzie nie widzę zbyt istotnej różnicy między uniwersytetem, instytutem naukowym muzeum czy teatrem albo filharmonią. Wszystkie te i podobne instytucje – w moim pojęciu – powinny tworzyć i rozwijać szeroko pojętą kulturę narodową. I, odpowiednio do swojej specyfiki, powinny mieć odpowiednio dużą „produkcję”. W przypadku typowego akademickiego instytutu oznacza to punkty za publikacje. Ku oburzeniu niektórych uważam, że „przydział” studentów powinien być skorelowany z punktacją. Mówiąc prosto: sądzę (może się mylę; nie gram na skrzypcach), że nie można nauczyć mistrzowskiej gry na skrzypcach, samemu nie grając przynajmniej „prawie mistrzowsko”. I uważam, że tak samo jest w każdej dziedzinie. Nie jestem więc przeciwnikiem punktów. Zgadzam się, że w obecnym systemie punktacji jest dużo degeneracji, ale usunięcie punktacji szybko prowadziłyby do tego, że walka o finanse sprowadziłaby się do licytacji w autoklamie (znam dziedziny, w których tak właśnie jest!). Dlatego sądzę, że punktacja i skorelowane z nią finansowanie są dobrym rozwiązaniem, a ogólnie niskie finansowanie nauki jest skutkiem bardzo niskiej wyceny nauki przez Polaków, i w związku z tą niską oceną decydenci nie widzą powodów, by zwiększać finansowanie. Po prostu polityk zainteresowany jest przede

wszystkim (w Polsce chyba wyłącznie) „kartką wyborczą” i nie kiwnie palcem w bucie, jeżeli nie zwiększy to jego szans wyborczych. Tym samym finansowanie czegoś, co ma niską ocenę wyborcy, jest z tego punktu widzenia czynnością wręcz samobójczą. Dlatego z jednej strony rozumiem kolegę Bartka – odpowiednia liczba punktów to finansowanie. Ale z drugiej rozumiem i polityka.

Tekst ten zacząłem pisać we wtorek, dzisiaj jest środa następnego tygodnia. Dostałem już ostatni numer FwS i przejrzałem, co zawiera. Z pewnym żalem zauważyłem, że nic zachwycającego, a i mój własny artykuł ma charakter „kowalskiej roboty”. Nie przyłożyłem się nadmiernie, choć inni zrobili chyba jeszcze gorszą robotę. Nauczyciel, przejrzawszy czasopismo na pewno się nie zachwyci. Nic dziwnego. Przy niechęci na uniwersytetach do publikowania w takich czasopismach, piszą w nich ci, którzy odczuwają taką potrzebę (czy wręcz robią to „w zastępstwie” poważnych artykułów – co słusznie warto tępić). Z mojego punktu widzenia to korzystne – przy niewielkim nakładzie pracy czasem coś się ukaże i jeszcze do tego zapłacić parę groszy. Gdyby pisali ci najwybitniejsi, to byle co by nie przeszło i może nawet trzeba by zapłacić za druk. Ale za to czytelnik czasopisma popularnonaukowego otrzymywałby wartościowe teksty i jego szacunek do polskiej nauki by rósł. A za szacunkiem pewnie poszłoby i finansowanie. Dlatego znowu byłbym skłonny podarować ten kwiatek i drobiazg z mało szlachetnego metalu.

Oczywiście nie twierdzą, że braki w popularyzacji to główna przyczyna niskiego szacunku dla nauki. Ale jakiś udział w marnym finansowaniu ten mechanizm ma. Warto podkreślić, że nie chodzi o mocne zaangażowanie naukowców w popularyzację. Jeden popularny tekst na dziesięć czy dwadzieścia „normalnych” publikacji to byłoby aż za dużo. Gdyby na tym rynku pojawiła się silna konkurencja, to teksty pisane na podstawie rewelacji sprzed ćwierć wieku nie miałyby racji bytu. Tym bardziej, że gdzie indziej jednak jest inaczej. W „Świecie Nauki” czy w „Sky&Telescope” trafiamy na teksty ludzi ze strefy noblowskiej. Podobnie z książkami popularnymi, których zawartość często wzbudza szacunek u czytelnika. W dzisiejszym medialnym świecie to, czego nie ma w mediach – w ogóle nie istnieje. Z tego to zdania dla przeciętnego Kowalskiego wynika, że polska nauka w ogóle nie istnieje. I pewnie dlatego polityk uważa, że nie warto jej finansować.

JERZY KUCZYŃSKI

Planetarium Śląskie, Chorzów

PAUza Akademicka – www.pauza.krakow.pl – tygodnik Polskiej Akademii Umiejętności i środowiska naukowego.

Rada Redakcyjna: Magdalena Bajer, Andrzej Białas, Aleksander Koj, Janusz Limon, Ewa Lipska, Stanisław Rodziński, Piotr Sztompka, Jerzy Vetulani, Marta Wyka, Jerzy Wyrozumski, Jakub Zakrzewski, Franciszek Ziejka.

Redakcja: Andrzej Białas – redaktor naczelny; Andrzej Kobos, Marian Nowy – redaktorzy; Adam Korpak, Krzysztof Skórczewski – grafika; Ryszard Otręba – „Galeria PAUzy”; Anna Michalewicz – dyrektor administracyjny; Witold Brzoskowski, Monika Mentel – fotokład; Wydawnictwo PAU – konsultacje.

Adres do korespondencji: Polska Akademia Umiejętności, 31–016 Kraków, ul. Sławkowska 17; e-mail: pauza@pau.krakow.pl

Oczekujemy na artykuły do 6 000 znaków (ze spacjami) i ilustracje w formacie JPEG o rozdzielczości 300 dpi.



Kraków – warto wiedzieć

Gra komputerowa dziełem sztuki?

W końcu ubiegłego wieku powstała nowa dziedzina humanistyki: ludologia (z łaciny: ludus – zabawa, z greckiego: logos – rozum, myśl). Ludologia zajmuje się badaniem świata gier komputerowych jako nowym medium. Polscy ludolodzy zrzeszeni są w Polskim Towarzystwie Badania Gier. Szacuje się, że graczy, w szczególności gier komputerowych, jest u nas sporo, liczba ta waha się w granicach 12 milionów Polaków (sic!) i ciągle wzrasta, gra też coraz więcej kobiet. Gra młodzież, grają dorośli. Rynek gier szybko się rozwija, zaś same gry nie są już prymitywnym sposobem na zabijanie czasu, a coraz bardziej wyrafinowanymi dziełami nie tylko techniki, ale i sztuki. Wspomina się, że gry mogą się stać sportem przyszłości...

Psychologowie z University of Rochester oraz badacze gier z Immersyve Inc. przeprowadzili niedawno badanie dotyczące gier komputerowych oraz przyczyn skłaniających ludzi do siadania przed monitorami, o czym poinformował Michał Zakrzewski w Onecie. Dotychczasowe analizy – skupiające się głównie na oprogramowaniu – dość jednoznacznie sugerowały, że za sukcesem e-gamingu kryje się naturalna skłonność ludzi do zabawy i przyjemnego spędzenia czasu. Czynniki gracze twierdzili tymczasem, że dużo większe znaczenie ma dla nich możliwość sprawdzenia się i osiągnięcia sukcesu (choćby wirtualnego), a także... kontakt z ludźmi o podobnych zainteresowaniach. Gry to nie tylko czysta zabawa – uważa Richard M. Ryan z Uniwersytetu Rochester, jeden ze współautorów badania. – Osoby, z którymi rozmawialiśmy, dowodziły, że największą frajdę sprawia im pokonywanie wyzwań”. Z badania wynika, że sama frajda towarzysząca grze nie stanowi aż tak silnego magnesu, jak zwykła rywalizacja.

A dlaczego Polacy sięgają po gry? Jak często do nich wracają? Oto wyniki badań polskiej sceny gamingowej, przeprowadzonych z okazji Digital Dragons 2015. Badanie przeprowadziła agencja IQS w dniach od 21 kwietnia do 4 maja 2015 roku. Główne dane pochodzą z anonimowych ankiet, wyświetlanych w serwisach Grupy Onet i na gry-online.pl, w których udział wzięło 3750 internautów w wieku 15–55 lat. Dlaczego grają? Najczęściej wymienianymi motywacjami były odpowiednio: zamiłowanie do tego typu rozrywki oraz potrzeba relaksu. Konsolowcy okazali się najbardziej społeczną grupą – prawie połowa (45%) gra dla towarzystwa, bawiąc się wspólnie ze znajomymi lub rodziną. Najbardziej atrakcyjne dla Polaków są motywy fantasy (47%) i średniowieczne (38%). Mniej popularna jest tematyka science fiction (26%).

W maju 2010 roku powstał w Uniwersytecie Jagiellońskim Zakład Technologii Gier Wydziału Fizyki, Astronomii i Informatyki Stosowanej. Jego pracownicy stanowią podstawę kadrową realizującą specjalizacje związane z projektowaniem gier w ramach studiów II stopnia na kierunku informatyka stosowana (modelowanie i animacja 3D, produkcja gier wideo). Zainteresowania naukowe pracowników Zakładu związane są z tematyką interfejsów bezdoty-

kowych (BCI), programowaniem kart graficznych, grami poważnymi, HCI, a także obszarami z pogranicza nauk informatycznych, takimi jak ludologia, teoria popkultury, software studies, cybertekstualność. Zakład Technologii Gier wchodzi w skład Europejskiej Akademii Gier oraz jest częścią projektu Wiking.



Fot. Marta Jochym

Prof. Piotr Białas

Zakładem kieruje dr hab. Paweł Węgrzyn. Profesorem w Zakładzie jest prof. Piotr Białas.

– Z wykształcenia jestem matematykiem (magisterium) i fizykiem (magisterium, doktorat i profesura). Obecnie jestem zatrudniony na Wydziale Fizyki, Astronomii i Informatyki Stosowanej UJ na stanowisku profesora informatyki – mówi prof. Piotr Białas. – Przez większość mojej „kariery” zajmowałem się symulacjami komputerowymi. Przez ostatnie 7 lat zajmuję się głównie programowaniem procesorów (kart) graficznych, ostatnio na potrzeby rekonstrukcji obrazu w budowanym u nas na Wydziale emisyjnym tomografie pozytonowym. Dlaczego to ważne? Karty graficzne instalowane we współczesnych komputerach to praktycznie „superkomputery” dostępne dla każdego za stosunkowo niewielkie pieniądze, i wykorzystanie ich może znacząco przyspieszyć obliczenia. Zwykle wymagają jednak przepisania programów od nowa, włącznie ze znalezieniem nowych algorytmów, które wykorzystają ich potencjał. Ponadto prowadzę zajęcia z programowania grafiki komputerowej dla studentów specjalizacji „tworzenie gier wideo” na naszym Wydziale.

I właśnie prof. Piotr Białas postanowił przekonać nas, iż powszechność gier komputerowych jest zjawiskiem nie tylko społecznym, lecz także kulturowym, artystycznym.

MARIAN NOWY

Kawiarnia Naukowa Polskiej Akademii Umiejętności zaprasza na spotkanie, w czasie którego prof. Piotr Białas przedstawi wykład pt. *Czy gra komputerowa może być arcydziełem?* Spotkanie odbędzie się w poniedziałek, 18 kwietnia br. o godz. 18.15 w auli PAU przy ul. Sławkowskiej 17. Zapraszamy.